

Feta w Coqueville



EMIL ZOLA

Feta w Coqueville

TŁUM. ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

I

Coqueville jest to mała wioska rybacka, wciśnięta w rozpadlinę skał nadmorskich o dwie mile od Grandportu. Piękne wybrzeże piaszczyste ściele się tam u stóp domostw przyczepionych do skalistego zbocza, niby muszle, które zostawił odpływ. Wstępując na wyżyny Grandportu, ku lewej, rozróżnić można całkiem dokładnie na zachodzie żółtą plachtę nadbrzeżnych piasków, podobną do fali złocistego pyłu, sypiącego się w morze z rozdziawionej szczeliny skał, a dobre oczy potrafią nawet rozróżnić domy, których rdzawy odcień pstrzy skałę rudymi kleksami, niebieskawe zaś smugi dymu wiją się aż po sam szczytowy grzebień olbrzymiego wału, rozgradzającego ziemię od nieba.

Zapadły to ką. Coqueville nie zdołało nigdy przekroczyć cyfry 200 mieszkańców. Rozzwierająca się na morze gardziel, w której progach usadowiła się wioska, wrzyna się ku tyłowi w ziemię w tak gzygzakowatych skrętach i takie strome ma dno, że wozem prawie nie podobna tędy przejechać. Uniemożliwia to wszelką komunikację i tak odosabnia miejscowość, że jej mieszkańcy żyją jakby się znajdowali o sto mil od sąsiednich wiosek. Toteż ludność nie znosi się z Grandportem inaczej jak tylko drogą wodną. Sami prawie rybacy, żyjący z oceanu, zawożą oni tam codziennie w barkach plon połowu. Wielka firma, handlująca rybami, dom Dufeu, zakupuje ten towar ryczałtem. Stary Dufeu nie żyje już wprawdzie od lat kilku, lecz wdowa po nim prowadzi dalej interes, przyjąwszy w tym celu urzędnika, pana Mouchel, blondyna sążnistego wzrostu, którego obowiązkiem jest przemierzać peryodycznie wybrzeże i zawierać umowy z rybakami. Ów to pan Mouchel jest jedynym łącznikiem pomiędzy wioską Coqueville a światem cywilizowanym.

Coqueville warteby było swego dziejopisa. Zdaje się rzeczą pewną, iż w zamierzonych czasach wieś założoną została przez rodzinę Mahé, która osiadłszy tutaj, rozrodziła się potężnie u podnóża skał. Tym Mahéom musiało się z początku nienajgorzej wieść, przyczem żenili się ciągle sami między sobą, przez całe wieki bowiem spotyka się tutaj samych tylko Mahéów. Znacznie później dopiero, za czasów Ludwika XIII, pojawia się niejaki Floche. Nie wiedzieć, skąd się właściwie wziął. Poślubił on wkrótce jedną z Mahéównych i od tej to chwili datuje się ciekawy objaw: Flocheowie teraz stali się wybrańcami fortuny i tak się z czasem rozmnożyli, że zaczęli pochłaniać Mahéów, których liczba malała a posiadłości przechodziły w ręce przybyszów. Nie ulega kwestyi, że Flocheowie wnieśli w osobie swego protoplasty świeżą krew, mocniejsze organa, temperament lepiej się nadający do tego twardego środowiska potężnych wichrów i morza bez granic. Na każdy sposób są oni dzisiaj w Coqueville panami placu.

Łatwo pojąć, że to przesunięcie się większości liczebnej i majątków na stronę przybyszów nie mogło się odbyć bez wstrząśnień straszliwych. Mahéowie i Floche'owie nie cierpieli się. Między obu rodami płonęła nienawiść wieków. Pomimo swej klęski wszakże Mahéowie zachowują dumę dawnych zdobywców. Bądź co bądź oni to założyli gniazdo, ich ród jest rodem praprzodków ludności. O pierwszym Floche'u wyrażają się z pogardą, jak o żebraku, włóczykiju, przygarniętym z litości, a oddanie mu w małżeństwo jednej z swoich cór traktują jako błąd nie do odwołania po wiek wieków. Ów Floche zostawił był po sobie, według ich zdania, potomstwo, złożone z samych lubieżników i złodziei, spędzających nocę na rozpuście a dnie na przepijaniu sched. Nie było kłątwy, jakiejby

nie miotali na potężne plemię Flocheów, przejęci ku nim jadowitą wściekłością szlachty, zdziśiatkowanej przez zgony i podupadłej, która patrzeć musi bezsilnie na rozrost burżuazji, w ich oczach zagarniającej ich posiadłości, ich krwawicę. Naturalna rzecz, Flocheowie ze swej strony wyzyskiwali swój tryumf z całą bezwzględnością. Czując się panami placu, drwili ile weszło z przeciwników i przysięgali przepędzić ich z wioski, jeżeli nie ugną karku. Są to w ich oczach głodomory, co zamiast się drapować w swoje starożytnie łachmany, lepiejby zrobiły, zabrawszy się do ich połatania. Tym sposobem Coqueville zdanem jest na pastwę dwu wrogich frakcji: stu trzydziestu mieszkańców z jednej strony, gotowych pożreć z kośćmi pięćdziesięciu pozostałych pod tym jedynie pretekstem, że są od nich silniejsi. Wojny wielkich mocarstw nie mają innej historii.

W szeregu waśni, jakie ostatnimi czasy wzburzały Coqueville, wymieniają w pierwszym rzędzie słynną nienawiść pomiędzy braćmi Fouasse i Tupain oraz głośnie batalie małżeństwa Rougetów. Trzeba wiedzieć, że każdy z mieszkańców otrzymywał tu niegdyś przydomek, który stawał się z czasem prawdziwym nazwiskiem rodziny, inaczej bowiem niepodobnaby się było rozeznac w mnóstwie krzyżujących się latorośli Mahéów i Flocheów. Rouget zatem musiał mieć prawdopodobnie pośród swych praszczurów jakiegoś płomiennowłosego rudźca, co do Fouassea i Tupaina zaś, zwali się tak Bóg jeden wie z jakiej przyczyny, albowiem wiele przydomków zatraciło z czasem doszczętnie pierwotny swój sens. Stara Franciszka, 80-letnia heród-baba, żyjąca po dziś dzień, miała być rzeczono Fouassea z jednym z Mahéów; następnie, owdowiawszy, poszła za mąż po raz wtóry za Floche'a, któremu powiła Tupaina. Stąd nienawiść obu przyrodnich braci, tem większa, że na dobitkę kwestye spadkowe podsycaly waśń. U Rouget'ów młócono się wzajemnie jak zboże na klepisku, ponieważ Rouget zarzucał swej żonie Maryi, że łamie mu wiarę małżeńską z jednym z Floche'ów, sążnistym Brisemottem, czarnowłosym siłaczem, na którego porwał się już był z nożem dwukrotnie, grożąc, że mu rozpląta brzuch. Rouget, mały, nerwowy czelczyzna, okropnie był zapalczywy.

Rzeczą jednak najmocniej w danej epoce Coqueville roznamiętniającą nie były ani wybuchy Rougeta, ani spór Tupaina z Fouassem. Oto gruchnęła nagle wieść, że Delfin, jeden z Mahéaków, dwudziestoletni łobuz jakich mało, śmiał się zakochać w pięknej Margot, córce La Queuea, najbogatszego z Flocheów, przytem wójta gminy. Ów La Queue był w samej rzeczy wybitną osobistością. Zwano go La Queue, ponieważ ojciec jego, pod Ludwikiem Filipem, ostatni nosił włosy w splocach, z uporem starca, wiernego do grobowej deski modzie z czasów młodości. Wójt La Queue był właścicielem jednej z dwóch największych łodzi rybackich w Coqueville „Zefir” — lekkiej jak mały, zupełnie nowej i bardzo mocno zbudowanej. Druga duża łódź „Wieloryb”, napół zgniłe pudło, należała do Rougeta, u którego służyli za majtków Delfin i Fouasse, podczas kiedy majtkami La Queue'a byli Tupain i Brisemotte. Ci ostatni, niewyczerpani w drwinkach z „Wieloryba”, nazywali go starym chodakiem i wróżyli, że rozlezie się na wodzie pewnego pięknego poranku jak grudka błota. Owóż tedy wójt La Queue spostrzegłszy, że ten hołysz Delfin, chłopak okrętowy z „Wieloryba”, poważa się kręcić koło jego córki, uznał za stosowne obdarzyć dwoma potężnymi policzkami Margosię, aby jej dać w ten prosty sposób do poznania, że nigdy żoną żadnego z Maheów nie będzie. Rozwścieczona tem Margot dała się słyszeć z groźbą, że wychlaszcze po papie Delfina, jeżeli nie przestanie się włóczyć za jej spódnicą. Przykra to była rzecz dla młodego junaka na którego Margot nie rzuciła dotąd okiem ni razu. Margot, mocna w swoim szesnastym roku życia jak chłop a piękna jak panienska, miała sławę osoby, lubiącej drugimi pomiatać, osobliwie zaś przykrej dla wielbicieli. Wziąwszy więc na uwagę: historię dwu policzków starego La Queue, zuchwalstwo Delfina i gniew Margosi, nietrudno sobie wyobrazić, jakie z tak wyborzonego materiału komeraże bez końca potrafią wysnuć w Coqueville.

Swoją drogą niejeden utrzymywał, że Margot nie była w gruncie rzeczy wcale tak bardzo oburzoną kręceniem się Delfina koło niej. Delfin był to mały blondynek o złociściej cerze, którą mu nadały skwary morskie, z bujną, kędzierzawą czupryną, pchającą mu się zewsząd w oczy i spadającą obficie na kark. Niepospolicie przytem silny, mimo swej drobnej budowy był w stanie wygrzmocić trzy razy od siebie cięższego. Opowiadano, że się od czasu do czasu wymyka na noc do Grandportu i hula do rana na zabój. Zrobiło mu

to u dziewcząt opinię straszego lamparta; szeptały o nim, że sobie „używa”, zamykając w tem nieokreślonym wyrażeniu tysiące rozkoszy nieznanych.

Ile razy Margosi przyszło mówić o Delfinie, unosila się namiętnie. On zaś uśmiechał się tylko chytrze, świdrując ją swemi małemi, błyszczącemi oczkami, zupełnie obojętny na jej pogardę i gniew. Lubił się za to włóczyć popod jej drzwi, lub przekradając się krzakami, godziny całe czatował na dziewczynę, cierpliwy i zwinny jak kot, gdy się czai na wróbla. Skoro go w takich razach nagle za swemi plecami spostrzegła, tak czasem blisko, że czuła na sobie ciepło jego tchu, nie uciekał, tylko przybierał wyraz takiej czułości i smutku, że z piersią zapartą, obrana z całej pewności siebie, zapominała gniewów, które odzywały się dopiero, gdy chłopiec był daleko. Gdyby ją ojciec mógł być widzieć w takiej chwili, nie omieszkałby jej z pewnością wlepić nowej pary policzków. Podobny stan rzeczy nie mógł trwać długo. Lecz mimo hałaśliwych przysiąg Margosi, że Delfina nie minie z jej ręki kara, żeby tam nie wiedzieć co!... — nie umiała jakoś wyzyskać okazji po temu, kiedy go miała przed sobą, i ludzie zaczęli sobie z niej przekpiwać, że lepiejby nie powtarzała tak często czczych pogrózek, bo w końcu jej samej dostaną się od starego cięgi.

Nikomu naturalnie nie powstało w głowie, by miała kiedykolwiek za niego wyjść. Historyę tę uważano po prostu za figle kokietki. Co się zaś tyczy małżeństwa między największym golcem z Mahéów, chłopakiem nie posiadającym na wyprawę sześciu całych koszul, a wójtowską córką, najbogatszą dziedziczką z Floche’ów, związek taki wydałby się wszystkim czemś potwornem. Złe języki nie wzdragały się przebąkiwać, że chociażby dziewczyna niewiedzieć jak daleko z tym hultajem zaszła, to i tak żoną jego nigdy nie będzie. Posażna dziewczucha może się bawić, jak jej się podoba, lecz jeżeli ma głowę nie od parady, nie popełni głupstwa. Koniec końców całe Coqueville zajmowało się awanturą, rozciekawione, jaki też wszystko obrót weźmie. Czy Delfin dostanie, wedle obietnicy, dwa razy w papę? czy też Margoś da mu się w końcu wycalować w jakimś ustroniu wśród skał? — Rzecz warta widzenia, — a ponieważ jedni byli za pyskobiciem, inni za całusami, więc Coqueville trzęsło się, jakby wybuchła rewolucya.

Dwu tylko ludzi w całej wsi nie należało ani do partyi Mahéów ani do obozu Floche’ów: proboszcz i strażnik polowy. Strażnik, człek suchy, wysoki, którego nazwisko nikomu nie było znane, ale którego przezwano „cesarskim”, dlatego pewno, że służył pod Karolem X. nie pełnił w gruncie rzeczy żadnej seryo strażniczej służby w gminie, na którą składały się puste wydmy i nagie skaliska. Podprefekt, darzący go swoją protekcją, stworzył mu tę synekurkę, dzięki której spożywał chleb powszedni niedużej zresztą pensyjki. Co się tyczy księdza Radiguet, był to jeden z tych prostodusznych kapłanów, których biskupi, aby ich stracić z oczu, zaprzepaszczają w pierwszej lepszej dziurze zapadłej. Schłopiawszy napowrót, wiódł on tu żywot poczciwego człowieka, grzebiąc w niewielkim ogródku, gwałtem wymęczonym na skałach, paląc fajkę i przypatrując się rosnącej sałacie. Jedyne błęd księżula stanowiło, że był smakoszem, w czem się jednak nie mógł zbyt wyrafinować, ograniczony do dogadzania podniebieniu makrelami, zapijanemi jabłecznikiem, obficie czasem — powiedzmy w sekrecie — niżeli organizm jego znieść był w stanie. Zresztą — prawdziwy ojciec swych parafian, którzy też przychodzili od czasu do czasu do kościoła, aby mu sprawić przyjemność.

Zdoławszy się przez czas długi utrzymać na stanowisku neutralnem, proboszcz i polowy musieli się jednak w końcu oświadczyć za jedną z zwaśnionych partyi. Obecnie „cesarski” trzymał z Mahéami, podczas gdy proboszcz Radiguet stanął po stronie Floche’ów. Stąd komplikacje. Ponieważ cesarskiemu, który żył sobie od rana do wieczora jak pan, mając za całe zajęcie liczenie statków, wypływających codziennie z Grandportu, znudziła się w końcu ta robota, więc wziął się do sprawowania policji we wsi. Zostawszy stronnikiem Mahéów przez tajemny instynkt konserwatyizmu społecznego przyznał rację Fouasseowi w sporze z Tupainem, starał się przyłapać Rougetową na gorącym uczynku z Brisemottem, nadewszystko jednak przymykał oczy, kiedy ujrzał Delfina, wślizgującego się na podwórkę Margosi. Najgorszem z wszystkiego było, że postępowanie to pociągało za sobą srogie kłótnie między „cesarskim” a jego naturalnym zwierzchnikiem, wójtem La Queue. Szanując dyscyplinę, strażnik polowy słuchał cierpliwie gderania wójta, lecz czynił potem, jak sam chciał, następstwem zaś tego była dezorganizacya władz publicznych w Coqueville. Nie można było przejść koło budy, zdobnej napisem: „Wójtostwo”, aby się nie usłyszało zgłębku kłótni. Z drugiej strony proboszcz Radiguet, sojusznik tryumfują-

cych Floche'ów, którzy go obdarzali okazami najwyborowszych makrel, przymykał oczy na błąd Rougetowej, Margosi zaś groził ogniem piekielnym, jeżeli się pozwoli Delfinowi dotknąć choćby koniuszkiem palca. Summa summarum była to kompletna anarchia: bunt armii przeciw władzom cywilnym, kler idący ręką w rękę z występłą burżuazją, cały naród, liczący głów sto osiemdziesiąt, pożerający sam siebie w zapadłej dziurze nadbrzeżnej, w obliczu niezmiernego morza i niebios bez końca.

Jeden tylko Delfin w całym, do góry nogami wywróconem Coqueville, chodził z twarzą jasną od uśmiechu zakochanego chłopca, co drwił z wszystkiego, byle Margot była z nim. Jak na króliki — na wszystkie strony zastawiał na nią sidła. Bardzo jednak roztropny, mimo swojej narwanej miny, pragnął się z nią połączyć u ołtarza, by nadać swemu szczęściu stygmat dożgonnej trwałości.

I otóż pewnego wieczora przysłała ta chwila wreszcie, że Margoś, zgodnie z obietnicą, zamierzyła się na niego ręką, zaskoczona przezeń na ścieżce, gdzie na nią czatował. W tej samej sekundzie jednak skraśniała po same białka, gdyż chłopiec, nie czekając policzka, jakim groziła mu ręka, pochwycił ją i ucałował ogniście.

I stała drżąca a on szeptał:

— Kocham cię... Chcesz mnie?

— Nigdy! — krzyknęła oburzona.

Wzruszywszy ramionami odrzekł z twarzą spokojną i rzewną:

— Nie mów tak... Będzie nam bardzo dobrze z sobą. Obaczysz, co za szczęście.

II

Tej niedzieli pogoda była straszliwa, jeden z tych nagłych huraganów wrześnieowych, co wzniecają okropne burze nad skalistymi stokami Grandportu. Na schyłku dnia Coqueville ujrzało wśród fal okręt w rozpaczliwym położeniu, pędzony wichrem. Lecz mrok coraz grubszy nie pozwalał nawet myśleć o niesieniu pomocy. Od wczoraj „Wieloryb” i „Zefir” stały na kotwicy w małym naturalnym porcie po lewej stronie wybrzeża, między dwoma ławicami granitu. Ani La Queue ani Rouget nie mieli odwagi wypłynąć. Co najgorsza pan Mouchel, reprezentant wdowy Dufeu, raczył się jeszcze w sobotę osobiście popatrywać do wsi, z przyrzeczeniem osobnego wynagrodzenia, jeżeli sobie rybacy zadadzą trud seryo, w halach bowiem zabrakło świeżych ryb, skarżono się. Toteż w niedzielę wieczorem, kładąc się spać przy szumie nawałnicy, siekającej wioskę, Coqueville zrzędziło gniewnie i mieszkańcy mieli humor popsuty. Wiecznie jedna i ta sama historia: obstalunki się sypią, kiedy morze nie chce dać ryb. Cała wieś przytem rozprawiała o owym statku, który widziano gnany przez huragan, a który w tej chwili spoczywa pewno na dnie fal.

Nazajutrz, w poniedziałek, niebo jeszcze było zachmurzone, morze, burzliwe ciągle, wrzało, nie mogąc się uspokoić, chociaż wiatr znacznie osłabł. Nareszcie ucichł zupełnie, lecz fale trwały dalej w rozkołysaniu wściekłym. Nie zważając na to, oba statki wypłynęły zaraz z południa na morze. Około czwartej „Zefir” powrócił, nic nie złowiwszy. Podczas gdy obaj majtkowie, Tupain i Brisemotte, przywiązywali go w małym porcie, La Queue, wściekły, groził oceanowi z wybrzeża pięścią. Pan Mouchel tymczasem czekał. Margot z połową mieszkańców wioski stała na brzegu, przypatrując się ostatnim spazmom burzy, pełna gniewu, równie jak ojciec, na niebo i morze.

— A gdzie „Wieloryb”? — spytał ktoś.

— Tam za cyplem — odparł La Queue. — Jeżeli ten szkielec zdoła i tym razem dobić się do przystani, będzie to istny cud.

Wzgarda dla łodzi wrogów dławiała go jak zawsze. Po chwili dodał, że to jednak prawie dla takich Mahéów narażać skórę w podobny czas. Kiedy ktoś groszem nie śmierdzi, wszystko mu jedno, czy go czart weźmie, czy nie. Co się jego tyczy, woli nie dotrzymać słowa panu Mouchel, niżli nadaremnie nadstawiać karku.

Tymczasem Margot nie przestawała przypatrywać się występowi skały, po za którym miał się znajdować „Wieloryb”.

— Ojcie! — spytała, — a tamci złapali też co?...

— Oni?!... — wrzasnęła. — Dajże pokój.

Pomiarkowawszy się wszakże na widok szyderczej miny „cesarskiego”, dodał nieco łagodniej:

— Zresztą nie wiem, czy złapali czy nie, ale ponieważ nigdy, nic nie łapia, zatem...

— Może też właśnie dziś powiodło im się złapać... — bąknął złośliwie „cesarski”. — Obaczmy to przecie...

Już miał się La Queue odciąć połowemu z furją, wtem ukazanie się proboszcza uspokoiło go w porę. Ksiądz Radiguet dojrzał „Wieloryba” z kościelnej platformy: i zdaje się, że barka łowi jakąś grubą sztukę. Nowina ta poruszyła żywo Coquevillaków. W kupie, zebranej na wybrzeżu, znajdowali się Mahéowie i Flocheowie, jedni zatem życzyli statkowi powrotu z połowem cudownej obfitości, podczas gdy drugim z oczu można było wyczytać, że pragną, aby przy płynął z niczem.

Margot, wyprostowana, nie odrywała od morza wzroku.

— Otóż i oni — wyrzekła nagle.

W istocie czarny punkcik ukazał się z poza cyplu.

Wszystko spojrzało w tę stronę. Rzekłbyś korek na wodzie tańczy. „Cesarski” sam jeden tylko nie mógł dojrzeć czarnej plamki. Ale bo też potrzeba było być rodem z Coqueville, aby z tej odległości być w stanie rozróżnić na morzu „Wieloryba” i tych, co nim kierowali.

— Czekać! — ozwała się znowu Margosia, posiadająca najlepsze oczy na całym wybrzeżu — Fouasse i Rouget wiosłują, mały stoi na przedzie...

Nazwała Delfina „małym”, aby go nie wymieniać z nazwiska. Od tej chwili poczęto bacznie śledzić bieg barki, starając się zrozumieć dziwne jej poruszenia. Jak to proboszcz powiedział, zdawała się ona istotnie łowić jakąś grubszą rybę, którą miała przed sobą. Dziwne się to wydało, bo „cesarski” utrzymywał z uporem, że morze musiało zabrać sieci „Wieloryba”. Ale La Queue zawołał, że to są leniuchy, którzy sobie umyślnie ze zbytków stroją figle. Na każdy sposób foki nie złowią z pewnością. Wszyscy Flocheowie buchnęli śmiechem na ten dowcip, podczas gdy z grupy urażonych Mahéów dały się słyszeć głosy, że Rouget jest pomimo wszystko zuchem co się zowie i że nie zawaha się, ze strachu przed byle czem, postawić na kartę swej skóry, gdy tymczasem inni wolą gnój z pod krów wyrzucać za najmniejszym podmuchem wiatru. W końcu aż proboszcz musiał się wdać między zwaśnionych, po raz wtóry już bowiem w powietrzu zapachło kłótnią.

— A to co? — zawołała naraz Margosia. — Odpływają z powrotem?...

Przestano do siebie szczerzyć zęby, oczy wszystkich zwróciły się na widnokrąg. Tym razem sam nawet La Queue okazał niepokój. Nie mógł sobie wytłómaczyć tego rodzaju manewrów. Obawa, aby naprawdę nie ułowili jakiej ryby, wzburzyła go do głębi. Blisko dwie godziny stali tak już na brzegu, czekając ciągle na barkę, która to się pokazywała od czasu do czasu, to znowu nikła za skałami. Aż w końcu schowała się całkiem przed ich wzrokiem.

La Queue, ucieszony, oświadczył, że barka musiała utonąć, żywiąc w duszy istotnie to ohydne życzenie; a ponieważ Rougetowa i Brisemotte znajdowali się także pośród zebranej gromadki, spojrzał w stronę obojga drwiąco, poczem poklepał po ramieniu Tupaina, aby go naprzód pocieszyć w razie utraty brata Fouassea. Uśmiech jednakże zniknął mu zaraz z twarzy, kiedy spostrzegł Margosię, jak niema, z wyciągniętą szyją wpatrywała się wyteżonym wzrokiem w dal. Oczywiście z przyczyny Delfina. Jak nie burknie na córkę:

— A ty tu co jeszcze masz do roboty? Do domu mi zaraz... Uwważaj, Margot!

Ale dziewczyna ani się poruszyła z miejsca. Natomiast po niedługiej chwili:

— Ach! otóż i oni!... — zawołała.

Podniósł się okrzyk zdziwienia. Tymczasem Margot, która miała oczy wyborne, poczęła przysięgać, że nie dostrzegła w barce żywej duszy. Ani Rougeta, ani Fouassea, ani... No nikogo. „Wieloryb”, jakby opuszczony, płynął zdany na łaskę wiatru, obracając się co chwila to dziobem, to sterem naprzód, i kołysząc się z miną leniwą. Na szczęście zerwał się wiatr zachodni, który go parł prosto na łąd, atoli w sposób dziwnie kapryśny, miotając statkiem to w prawo, to w lewo.

Teraz już całe Coqueville zebrało się na wybrzeżu. Jedni przywoływali drugich, ani jedna dziewczyna nie pozostała w domu pilnować polewki, aby nie wykpiła. Wypadek to był niesłychany, coś tak niepojętego, że przez swą nadzwyczajność mieszało w głowach szyki. Maryi, żonie Rougeta, wydało się po chwili, że powinna wybuchnąć płaczem.

Tupain zdobył się zaledwie na płacziwą minę na konto brata. Wszyscy Mahéowie byli mocno wzruszeni, podczas kiedy Flocheowie starali się przyzwoicie zachować w chwili tak poważnej. Tymczasem Margot, jak gdyby się pod nią nogi załamały, usiadła.

— Czego ty się tu płaczesz jeszcze? — fuknął na córkę La Queue, ujrzawszy ją u swych nóg.

— Zmęczyłam się — odrzekła z prostotą.

I zwróciła twarz na morze, przyłożywszy dłonie do obu policzków i osłoniwszy oczy końcami palców, wpatrzona uparcie w rozkołysaną barkę, która zataczała się tam i sam na powierzchni wody, jakby stroiła figle, podpiwszy sobie trochę.

Przypuszczenia nie milkły ani na chwilę wśród gromady. A może trzech ludzie wpadli naprawdę w morze?... Tylko że wszyscy trzech naraz — wyglądało to trochę zabawnie. La Queue próbował w ludzi wmówić, że „Wieloryb” pękl po prostu jak zgniłe jaje. Wobec tego jednakże, że nie przestawał utrzymywać się na powierzchni, ludzie wzruszali ramionami na taką supozycję. Wtem wójt, wobec prawdopodobieństwa śmierci załogi, przypomniał sobie swój urząd i zaczął prawić o dopełnieniu ewentualnych formalności.

— Dajcie-no pokój — przerwał mu strażnik. — Cóż to rybak daje się tak połknąć lichu ni stąd ni zowąd?... Toż gdyby byli powpadali do wody, mały Delfin byłby już dawno tu!

Całe Coqueville przyznało tym słowom rację, bo Delfin pływał istotnie jak śledź. Gdzież jednak w takim razie mogła się podzić trójka?... Dały się słyszeć głosy: „Ja ci mówię, że tak.” — „A ja ci powiadam, że nie.” — „Głupis!” — „Tyś sam głupi.” — Zaniosło się na bitkę. Proboszcz pospieszył nawoływać do zgody, połowy zaś kulakował ludzi energicznie celem przywrócenia porządku. Równocześnie barka, ani myśląc się spieszyć, płąsała dalej w oczach ludzkich. Zdawało się, jakby sobie z nich chciała kpić. A przyływ niósł ją, wprawiając od czasu w poruszenia podobne do ukłonów. Ani chybi — dostała bzika.

Margoś, z dłońmi na twarzy, nie przestawała się jej ani na chwilę przypatrywać. Wyślano z przystani naprzeciw „Wieloryba” łódź. To Brisemotte okazał się tak niecierpliwym, jakby mu zależało na przywiezieniu coprędzej pewności Rougetowej kobiecie. Od tej chwili uwaga wszystkich skupiła się na łódce Brisemotte’a. Jedni przez drugich wykrzykiwali teraz: — „A co? Dostrzegł już co?...” — „Wieloryb” zaś posuwał się stale naprzód z swą tajemniczą i figlarną miną. Nakoniec ujrzano Brisemotte’a, jak dopłynąwszy do „Wieloryba”, uchwycił się jednej z lin, dźwignął, i zajrzał w głąb barki. Wszystkim patrzącym z brzegu oddech zaparło. Wtem Brisemotte jak nie parskanie śmiechem na całe gardło!... Czegoś podobnego nie spodziewali się. Co u licha mogło go tak dyabelnie rozśmieszyć!...

— A co?... Co tam takiego?!... — poczęto nań wrzeszczeć z całych sił.

Nie odpowiadając wcale, śmiał się coraz serdeczniej. Gestykulował przytem w taki sposób, jak gdyby chciał powiedzieć: — „Ale się też zdziwicie!...” Poczem czepiwszy „Wieloryba” z swoją łodzią, holował go ku brzegowi. Niespodziewane widowisko wprawiło chwilę później w niebywałe zdumienie Coqueville.

Na dnie barki trzech rybacy: Rouget, Delfin i Fouasse, leżeli w śnie błogim, na znak rozwaleni, chrapiąc, z zaciśniętymi pięściami, pijani jak bele. W pośrodku trójki stała mała beczulka z dnem odbitem, którą musieli napelnioną na morzu napotkać i z której się tak uraczyli; treść jej zaś musiała być bardzo smakowitą, bo z rozbitej beczulki wypito ją co do kropli, z jaki litr najwyżej wylał się na dno barki i zmieszał się tam z wodą morską.

— O! świńtuch jeden!... — wykrzyknęła Rougetowa brutalnie, przestając szlochać na widok pijanego męża.

— A co?... Piękny połów! — ozwał się La Queue, udając okropne obrzydzenie.

— Do dyabła — odparł połowy — rybak łowi, co mu się trafi. Złapali w każdym razie przynajmniej beczulkę, kiedy wasza barka i tego nie złapała.

Wójt zamilkł z urażoną miną. Tymczasem Coqueville podniosło wrzawę jarmarczną. Teraz zrozumiano wszystko. Gdy barka ma we łbie, tańczy i zatacza się jak pijany człowiek; ta zaś miała dosłownie pełen likieru brzuch. A! szelma! szelma jedna!... Objęła się tam i sam po morzu zupełnie jak pijak, co nie może do domu trafić. I Coqueville śmiało się nad barką do rozpuku a jednocześnie było zgorszone, bo to, co się Mahéom wydawało bez granic śmiesznem, Flocheowie uznali za ohydę. Otoczono zwartem kołem

„Wieloryba”, szyje się wyciągały, wytrzeszczały oczy, każdy chciał na własne oczy zobaczyć trzech zuchów, śpiących z rozpromienionymi minami w całkowitej nieświadomości, jaki się ku nim ze wszystkich stron tłumek nachyla. Kłątwy i śmiechy nie dochodziły wcale ich uszu. Rouget nie słyszał wrzasków żony, wyrzucającej mu, że wszystko wypił. Fouasse nie czuł wcale kopania, jakim braterska noga obmacywała mu w tej chwili boki. Co się tyczy Delfina, ten uroczo nad wyraz wyglądał w swem opilstwie z wyrazem zachwytu na rozczwienionej twarzy, pośród kędziorów złocistych. Margot, podniósłszy się z swego miejsca, patrzyła na małego z surową miną, milcząc.

— Trzeba ich położyć spać! — ktoś zawołał.

Właśnie w tej chwili Delfin otworzył oczy i powiódł wzrokiem oczarowania po ludziach, którzy poczęli go zewsząd zarzucać pytaniami, z natarczywością, uciążliwą trochę dla jego zachwianej inteligencji, był bowiem jeszcze pijaniuteńki.

— No... niby co?... — mamrotał. — Nieduża beczułka... ryb nie było... takeśmy... takeśmy chapsli tę beczuleczkę...

Nie umiał wybrnąć poza to. Co słowo dorzuczał z prostotą:

— Bardzo było dobre.

— Ale co? co było w beczulce?... — pytali go rozciekawieni.

— Czy ja wiem... Dobre było i koniec.

Coquevillacy zapłonęli żądzą dowiedzenia się, co zawierała beczułka. Wyciągając, jak tylko się dało najdalej, nosy, węszyli z wszystkich sił. Orzeczono jednomyślnie, że płyn rozlany pachnie likierem, nikt jednak nie miał odwagi rozstrzygnąć: jakim. Wtedy polowy, który się chepił, że pił w życiu wszystko, co tylko człowiek pić może, oznajmił, że pójdzie rzecz zbadać osobiście, poczem zaczerpnął poważnie w dłoń z zagłębienia na dnie barki nieco wypełniającej je cieczy. Tłum umilkł w jednej chwili. Czekano. Lecz strażnik, chlipnąwszy jeden lyczek, pokręcił głową, jakby na znak, że jeszcze nie wie. Skosztował po raz drugi, coraz mocniej zafrasowany, z miną zdziwioną i niespokojną, lecz musiał w końcu oświadczyć:

— Nie wiem... To zabawne!... Żeby się nie zmieszało z wodą morską, wiedziałbym na pewno... Słowo daję, bardzo zabawne...

Ludzie spojrzeli po sobie. Zdumienie ogarnęło wszystkich, że nawet polowy nie ma odwagi wydać stanowczej opinii. I Coqueville patrzyło z coraz większym respektem na małą wypróżnioną beczułka.

— Bardzo było dobre — wysapał jeszcze raz Delfin, jakby się chciał natrzęsać z ludzi.

Poczem wskazawszy na morze szerokim gestem, dodał bełkotliwie:

— Jeżeli chcecie, jest tam tego więcej... Widziałem!... Beczulki... beczulki... beczulki...

I zaczął się kołysać, niby w takt piosenki, posyłając Margosi spojrzenie słodczy pełne. W tej chwili dopiero ją spostrzegł. Wściekła nań, zrobiła ręką ruch taki, jakby mu wymierzała policzek, lecz nawet nie zmrużył oczu, czekając z czułą miną chłaińcica.

Tymczasem ksiądz Radiguet, zaintrygowany jak wszyscy nieznanym przysmakiem, umoczył także palec w barce i oblizął. I on jednak pokręcił tylko głową tymże co i polowy sposobem; nie, nie znał tego stanowczo, rzecz dziwna. Zgodzono się wszakże na jedno: beczułka musiała pochodzić z rozbitego statku, który widziano w niedzielę wieczorem miotany przez burzę. Angielskie statki, ładowne likierem i szlachetnymi winami, zawijały dość często do Grandportu.

Powoli dzień błądł i ludzie poczęli się do domów rozchodzić w ciemnościach. Tylko jeden La Queue pozostał w miejscu zaprzątnięty, opanowany myślą, której nie wyjawiał przed nikim. Przystanąwszy, wsłuchiwał się po raz ostatni w pijackie majaczenie Delfina, który, niesiony do wsi, śpiewnie powtarzał:

— Beczulki... beczulki... beczulki... Jeżeli chcecie, jest ich tam podostatkiem.

III

Przez noc pogoda zmieniła się zupełnie. Gdy się nazajutrz Coqueville zbudziło ze snu, słońce świeciło jasno, morze rozciągało się w dal taflą bez zmarszczki, jak jedna olbrzymia sztuka zielonego atlasu. Powietrze było przytem ciepłe owem łagodnym ciepłem pogody jesiennej.

Pierwszy z całej wsi opuścił posłanie La Queue, jeszcze otumaniony całą treścią snów swoich tej nocy. Długo rozglądał się po morzu, na lewo, na prawo. Nakoniec oświadczył z posępną miną, że trzeba jednak zadosyć uczynić żądaniom pana Mouchel. Poczem wyruszył nie tracąc czasu do przystani z Tupainem i Brisemottem, zagroziwszy Margosi, że ją kijem w boki połaskocze, jeżeli się nie zachowa statecznie. W chwili gdy „Zefir” wypływał na morze, wójt na widok „Wieloryba” kołyszącego się ciężko na uwięzi uśmiechnął się i zawołał:

— No! co już dzisiaj, to figa dla was z tego!... Można śmiało zgasić świeczkę... ci pankowie w najlepsze chrapią...

Skoro zaś tylko „Zefir” znalazł się na pełnym morzu, La Queue zapuścił sieci. Następnie pospieszył zajrzeć do swych specjalnych węcierzy, w jakie najłatwiej łowić pewne gatunki raków oraz barweny. Lecz mimo, że morze było spokojne, w żadnym z węcierzy nic nie znalazł; w ostatnim jakby na urągowsko, zловиła się mała makrela, którą wyrzucił z furją w morze. Prawdziwy pech. Trafiły się czasem całe tygodnie takie, w których ryba unikała formalnie Coqueville i to jakby na złość właśnie wtenczas, kiedy pan Mouchel objawiał najwyższe pragnienie kupna. Kiedy w godzinę potem La Queue pościągł sieci — nic w nich nie znalazł więcej prócz kłębka alg. Natenczas zaklął siarczyście, zacisnąwszy pięści, tem bardziej rozwścieklony, że ocean, pogodny, leniwy i senny, leżał podobny obrusowi z zczerniałego srebra pod niebem przeczyste błękitnem. Bez najłżejszego nawet kołysania ślizgał się zefir po falach powoli, słodko. La Queue postanowił wrócić do domu po powtórnem zaciągnięciu sieci. Po południu przyplynie się zajrzeć. Błuzniąc niebu i patronom i słowa miotając bezbożne, dał hasło do powrotu.

Tymczasem Rouget, Fouasse i Delfin spali ciągle. Nie można się ich było dobudzić aż w godzinie śniadania. Nic sobie z dnia wczorajszego nie mogli przypomnieć, zachowawszy to jedno w pamięci, że się raczyli czemś wybornem, czego nie znali zupełnie. Po południu, kiedy wszyscy trzej zeszli się w porcie, połowy próbował z nich coś wyciągnąć, teraz, kiedy byli znowu przy zdrowych zmysłach. Przypominało to — mówili — jakby gorzałkę z smażoną lukrecją, albo też jeszcze prędzej rum, słodzony i przepalany. Mówili w ogóle tak i owak. Kierując się według ich określeń, połowy zdobył pewne poszlaki, że tu się miało do czynienia z ratafią, nie byłby jednak przysięgł na to. Dnia tego Rouget i obaj jego ludzie nie czuli się dosyć na siłach, aby wyruszyć na połów. Wiedzieli zresztą, że La Queue wyprawiał się zrana nadaremnie, umówili się zatem poczekać do jutra z odwiedzeniem założonych węcierzy. Rozsiadłszy się na głazach w trójkę, patrzyli na postępujący przyływ zgarbieni, z lepkością w ustach, na pół śpiący.

Naraz Delfin się ocknął. Wskoczywszy na głaz utkwił oczy w dal i zawołał:

— Spojrzcie!... O, tam!...

— Co takiego? — odrzekł Rouget, leniwie przeciągając kości.

— Beczka!

W mgnieniu oka Rouget i Fouasse byli na nogach a oczy ich, błysnąwszy pożądlivością, poczęły łakomie przeszukiwać widnokrąg.

— Gdzie, chłopcze?... Gdzie jaka beczka?... — powtarzał Rouget z mocnem wzruszeniem.

— Tam... na lewo... ten czarny punkt.

Tamci nie mogli nic dostrzedz. Wtem Rouget zaklął:

— Prawda! Jak Boga kocham!...

Spostrzegł istotnie beczkę, wielką jak soczewica, na wodzie jasnej od skośnego rzutu promieni zachodzącego słońca. Na łeb na szyję pobiegł do „Wieloryba”, za nim Delfin i Fouasse, mlóćąc piętami po żwirze, na którym stopy ich ślizgały się w pośpiechu.

„Wieloryb” wypływał właśnie z portu, gdy po wsi gruchnęła wieść, że na morzu widać beczkę. Kobiety i dzieci puściły się w też pędy ku brzegowi z krzykiem:

— Beczka! beczka!...

— Widzicie ją?... Prąd ją niesie do Grandportu.

— Aha!... Na lewo!... Beczka!... Pójdźciez tu prędko!...

I całe Coqueville runęło po pochyłości skał, dziatwa koziołkując po drodze, kobiety uginając oburącz spodnice, by prędzej stanąć na dole. Wkrótce też, tak jak wczoraj, wieść cała znalazła się na wybrzeżu.

Margot pojawiła się także z innymi, zaraz jednak wróciła do domu, by powiadomić ojca, który klócił się właśnie o coś, jak zwykle, z strażnikiem. Cały błady wrzeszczał do połowego:

— Dajcie mi święty pokój!... To Rouget tu was na kark przysłał, żeby mi zabierać czas. A co do tamtego — nie będzie jej miał, ja to powiadam.

Na widok „Wieloryba”, o trzysta metrów od brzegu, całą siłą wioseł zdążającego ku czarnemu punkcikowi, kołyszącemu się na wodzie w oddali, wściekłość wójta zdwoiła się. I pchnąwszy coprędzej Tupaina i Brisemotea ku „Zefirowi”, wypłynął również w parę sekund z portu, powtarzając raz po raz zaciekle:

— Nie! nie dostaną jej!... Żebym tak pękł, nie dostaną!

Wówczas roztoczył się przed Coquevillakami spektakl nielada: wściekły wyścig „Zefira” z „Wielorybem”.

Kiedy „Wieloryb” spostrzegł, że barka wójta wypływa z przystani, ocenił natychmiast niebezpieczeństwo, pomknął tedy co sił. Miał on już z jakie czterysta metrów na swoją korzyść, szanse jednak były w gruncie rzeczy pomimo to równe, „Zefir” bowiem był lżejszy i szybszy. Toteż na brzegu liczono bardziej na jego zwycięstwo. Maheowie i Flocheowie uformowali na brzegu instynktownie dwie grupy, śledząc z roznamiętnieniem przebieg walki, ci i tamci obstając przy szansach wygranej dla swego statku. Zrazu „Wieloryb” miał ciągle pierwszeństwo, lecz skoro się „Zefir” rozpędził, widać było wyraźnie, jak tamtą barkę dogania. Zdobywając się na ostatni wysilek, zdołał „Wieloryb” zachować przez czas jakiś dotychczasowy dystans. Lecz potem znów zaczął go tracić, bo „Zefir” go dopędzał z nadzwyczajną szybkością. Od tej chwili stało się rzeczą oczywistą, że obie barki zrównają się w pobliżu beczki a ostateczne zwycięstwo stanie się zależnym od okoliczności, od lada drobnego błędu.

— „Wieloryb!” „Wieloryb!” — krzyczały Mahé-y.

Umilkli jednak. W chwili bowiem, kiedy „Wieloryb” dosięgł prawie beczki, „Zefir” przepłynął mu zręcznym manewrem popod sam nos i odepchnął beczkę w lewo, gdzie ją La Queue, jak na harpun, złowił uderzeniem bosaka.

— „Zefir!” „Zefir!” — krzyknęli teraz Floche’owie.

A ponieważ połowy bąknął coś o podstępie, zaczęto sobie ciskać grube słowa. Margot klaskała w ręce, proboszcz, przybywszy z brewiarzem pod pachą, zrobił uwagę, pełną głębi, która uciszyła naraz wszystkich i zasmuciła jednocześnie.

— Wypiją pewno wszystko, co do kropli, i ci także, szepnął z wyrazem melancholii.

Na morzu, między „Zefirem” i „Wielorybem” wybuchła gwałtowna sprzeczka. Rouget począł traktować wójta od złodziei a ten mu cisnął nawzajem w oczy, że jest niedojdą. Porwali się nawet obaj do wioseł, aby się niemi uczęstować i niewiele brakowało, a byłaby z tego wynikła formalna bitwa morska. Naznaczyli sobie jednak na lądzie spotkanie, pokazując sobie pięści i grożąc, że jeden drugiemu kiszki wypruje, skoro się tylko zjeżdżą.

— A to kanalia!... — zrzędził Rouget. — Beczka jest znacznie większa niż ta wczorajsza. A przytem żółta... Musi w niej być coś pysznego...

Poczem dodał zgrzyziony:

— Zajrzyjmy chociaż w węcierze... Może się ulowiło trochę raków...

I „Wieloryb” odplynął ciężko, kierując się ku cyplowi z lewej.

W „Zefirze” tymczasem La Queue musiał się aż rozgniewać, by pohamować atak Tupaina i Brisemott’a na ulowioną beczkę. Bosak bowiem, przeciąwszy jedną z obręczy, sprawił, że przez szparę wśród klepek sączył się z beczki płyn pąsowy, którego obaj rybacy poczęli próbować chciwie końcami palców i którzy znaleźli wyborem. Możliwe śmiało wypić po szklance. Ale La Queue się sprzeciwił. Przechyliwszy beczkę, tak, aby nie ciekła, oświadczył, że pierwszy, co się poważy ją oblizywać, będzie miał z nim do czynienia. Na lądzie — rzecz inna.

— Zatem pójdziemy wydobyć węcierze? — zapytał posepnie Tupain.

— Zaraz, zaraz; nie spieszy się z tem — wójt odparł.

I jego dusza także pieściła się z oczyma z barylką. Czuł w członkach jakieś słodkie omdlenie, zbierała go gwałtowna ochota zaraz wracać, aby skosztować... Co go tam teraz obchodziły węcierze?!...

Tak i ozwał się też po chwili, uległszy:

— E... to chyba wracajmy... Późno już... Zajrzyjmy do węcierzy jutro.

Zaniechali połowu. Wtem wójt zobaczył drugą beczkę, trochę mniejszą od tamtej, po swojej prawej, która płynęła sztorcem, kręcąc się w wodzie koło własnej osi, jak bąk. Cios to był ostateczny dla sieci i wężerzy. Nie było o nich mowy więcej. „Zefir” oddał się cały łowieniu baryłki, którą powiodło mu się zresztą schwycić z wszelką łatwością.

W tymże czasie zbliżona przygoda zdarzyła się „Wielorybowi”. Kiedy Rouget znalazł między założonymi wężerzami pięć zupełnie pustych, Delfin, ciągle na czatach, zawołał, że coś na wodzie dostrzega. Nie wyglądało to jednak na beczkę, bo na nią było za długie.

— Kawalek belki — orzekł Fouasse.

Rouget jednak, puściwszy szósty wężerz, którego nawet nie dobył całkiem z wody, pospieszył w tamtą stronę i rzekł:

— Trzeba obejrzeć na każdy sposób.

W miarę podpływania zdawało im się, że rozpoznają deskę, to znów skrzynię a wreszcie drewnianą kłodę. Naraz z piersi ich wydarł się okrzyk radości. Była to rzeczywiście beczka, lecz beczka osobliwego nabożeństwa, z jaką nigdy jeszcze nie zdarzyło im się spotkać. Rzekłbyś: kawał rury, trochę tylko wydętej w środku, oba jej końce zamknięte były warstwą gipsu.

— Cóż to za cudak! — wykrzyknął Rouget z zachwytem. — Tęgo mi musi połowy pokosztować... Dalej, wracajmy, dzieci!

Powiedzieli sobie, że nie tkną łupu przed wylądowaniem i „Wieloryb” wrócił do Coqueville z swym ładunkiem w tym samym momencie co i „Zefir”.

Ani jeden z ciekawych nie opuścił aż do tej chwili wybrzeża, a niespodziany połów, na który się złożyły aż trzy beczki, przyjęto z okrzykiem radości. Małe łobuzy rzuciły w powietrze kaszkietami, kobiety pospieszyły do domów co żywo po szklanki. Postanowiono skosztować niezwłocznie zdobytych trunków, i to na miejscu. Ponieważ szczątki rozbitych statków stanowią, prawem zwyczajowym, własność nadbrzeżnej ludności, nie podniósł się więc żaden głos protestu, tyle tylko, że utworzyły się zaraz dwie grupy: jedna Maheów, dokoła Rougeta, Flocheów zaś przy wójtowskiej osobie.

— Polowy!... W wasze ręce najpierwsza!... — wykrzyknął, przepijając do strażnika, Rouget. — Powiecie nam, co to jest.

Likier miał piękną barwę złotą. Polowy ujął szklanekę, podniósł, spojrzął pod światło, powąchał, wreszcie przybliżył do ust i pociągnął.

— To trunek z Holandyi — oświadczył po długim milczeniu.

Nie dał im żadnej innej informacji. Wszyscy Mahéowie pili teraz jeden po drugim z respektem. Trochę im się to wydawało gęste, zadziwiał ich przytem smak płynu, jakby zalatujący kwiatami. Kobiętom smakował napój bardzo, mężczyźni natomiast woleliby, gdyby w nim było mniej cukru. Na każdy sposób moc trunku robi swoje przy trzeciej, czwartej szklance. Im więcej pili, tem bardziej im przypadał do smaku. Mężczyźni nabierali humoru, płeć piękna stawała się krotochwilną.

Tymczasem połowy, nie zważając na świeżą sprzeczkę z wójtem, krążył coraz to bliżej koło grupy zapijających się Flocheów. Większa ich beczka zawierała likier ciemnoczerwony, podczas gdy w mniejszej znajdował się biały, przezroczysty jak woda źródłana, i ten był znacznie ostrzejszy, istny pieprz, coś, co parzyło w gębę jak ogień. Żadnemu z Flocheów nie były te trunki znane, ni ten czerwony, ni biały. A przecież znajdowali się między nimi bywalcy. Tych gniewało, że piją, acz z rozkoszą, nie wiedzieć co.

— Czekajcie no! — przerwał daremne dociekania La Queue i czyniąc z swej strony pierwszy krok, zwrócił się do strażnika: — Polowy!... spróbujcie wy!

Strażnik, który na to tylko czekał, przybrał jak na komendę mądrą minę rzeczoznawcy. Co do czerwonego objawił zdanie:

— W tem jest pomarańcza.

O białym zaś orzekł:

— To było nalewane na zioła.

Odpowiedź ta zadowolniła w zupełności słuchaczy a połowy zadarł głowę z pewną siebie postawą szczęśliwca, który nie zawiodł zaufania, jakie ogół pokładał w jego wiedzy.

Jeden tylko proboszcz Radiguet nie bardzo zdawał się być przekonany. Chciał usłyszeć konkretne nazwy napojów! Utrzymywał, że ma je sam na końcu języka i aby je sobie lepiej uprzytomnić, wychylał kielich za kielichem, powtarzając:

— Czekajcie, czekajcie... Już wiem... Zaraz wam powiem...

Tymczasem wesołość wzmagała się coraz więcej w obu grupach. Zwłaszcza też Flocheowie śmiali się z każdą chwilą głośniejsz, mięszali bowiem dwa trunki naraz, co, jak wiadomo, bardziej w rozum łaskocze. Jedni i drudzy wszakże trzymali się od siebie w oddaleniu. Nie częstowali się wzajemnie zawartością swych beczek, rzucali na siebie tylko spojrzenia pełne sympatii, opanowani niewyrzeczoną żądzą pokosztowania trunku sąsiada, który wydawał się naturalnie lepszym. Wrodzy bracia Tuipan i Fouasse, mimo że ocierali się o siebie przez cały wieczór, ani razu, rzecz rzadka, nie przystawili jeden drugiemu do nosa pięści. Zauważono także, że Rouget i Rougetowa pili z jednego naczynia. Co się tyczy Margosi, nalewała ona kieliszki oczywiście po stronie Flocheów, że zaś szafowała trunkiem zbyt szczerze i likier przelewał się jej na palce, więc je oblizywała raz po raz i chociaż posłuszna święcie zakazowi ojca, który surowo zabronił jej pić, była mimo to pijaniuteńka jak robotnica w czasie winobrania. A było jej z tem wcale do twarzy, wcale. Zrobiła się cała różowa, oczy jej zaś płonęły niby dwie świece.

Słońce poczęło się chylić ku zachodowi, powietrze było ciepłe jak na wiosnę. Couquville, wypróżniwszy beczki, ani myślało na obiad do wsi wracać. Za dobrze tu ludziskom było na wybrzeżu. A kiedy zmierzch zapadł, Margot, usiadłszy na uboczu, poczuła się jak szept czyjś ciepły musnął ją w szyję zlekka. Był to Delfin, który, ogromnie wesół, krążył dokoła dziewczyny na czworakach, jak ten wilk. Powstrzymawszy cisnący się jej na usta okrzyk przestachu, aby nie zwracać uwagi ojca, który nie zaniedbałby oczywiście kopnąć Delfina w miejsce, zdobne u prawdziwych delfinów ogonem, szepnęła w półurazona, ucieszona w połowie:

— Idźże, idź, głupi!... Chcesz koniecznie oberwać?...

IV

Dnia następnego Coqueville, przebudziwszy się, ujrzało nad swemi głowami kulę słoneczną wysoko. Powietrze było jeszcze cieplejsze, morze jakby drzemało pod nieboskłonem przezystym; jedyny czas do próżniaczki!... Była to środa. Do samego śniadania Coqueville odpoczywało po biesiadzie wczorajszej, potem ludność wyległa na brzeg, aby się po morzu rozejrzeć.

Tej środy połów, wdowa Dufen, pan Mouchel, wszystko to razem poszło w całkowitą niepamięć. La Queue i Rouget ani wspomnieli o tem, by iść rewidować wężerze. Około godziny trzeciej sygnalizowano pojawienie się beczek na morzu. Cztery sztuki podskakiwały na falach tuż naprzeciwko wioski. „Wieloryb” i „Zefir” wybrały się oczywiście zaraz na łów; że jednak łupu starczyło dla wszystkich, nie spierano się oń i każda barka zabrała na rzecz własną przypadającą jej część. O godzinie szóstej wieczorem Rouget i La Queue, przeskakawszy małą zatokę, wrócili, każdy z trzema beczkami, poczem zaraz biba rozpoczęła się na nowo. Kobiety zniosły ze wsi stoły ku większej wygodzie. Przytransportowano nawet ławy i zaimprovizowano na świeżem powietrzu dwie gospody, takie same jakie były w Grandport. Machéowie zajęli miejsce z lewej, Flocheowie z prawej, a rozdziałał oba obozy wzgórek piaszczysty. Połowy wszakże przechadzał się już dzisiaj z całą swobodą od grupy do grupy, niosąc to tu, to tam pełne kieliszki, ażeby wszyscy bez wyjątku pokosztować mogli zawartości każdej z sześciu beczulek. Około dziewiątej wesołość miała już daleko większe napięcie niżeli w wigilię i Coqueville ani nazajutrz, ani nigdy nie zdołało sobie przypomnieć, w jaki sposób mieszkańcy jego przenieśli się z wybrzeża na spoczynek owego szczęsnego dnia.

We czwartek „Zefir” i „Wieloryb” zdołały złowić tylko cztery beczulki, po dwie na barkę; były za to bardzo duże. Natomiast w piątek połów wypadł wspaniale, przynosząc w zysku aż siedm beczek: trzy Rougetowi, cztery dla La Queuea. Natenczas w Coqueville poczał się wiek złoty. Zaniechano wszelkiej pracy. Rybacy, trawiąc wczorajszy alkohol, wysypiali się do samego południa. Potem poczęli srać po jednemu spacerkiem, na wybrzeże, skąd przypatrywali się morzu. Jedyńą wszystkich troską było: jakim też likierem lub nalewką obdarzy ich dzisiaj przyływ? Spędzili tak godziny całe z wytrzeszczonemi na morze oczyma, wydając okrzyki radości, ile razy ukazało się coś na powierzchni. Kobiety i dzieci oznajmiały z wysokości skał wielkimi gestami ukazanie się najmniejszego kłębka alg, unoszonych przez fale, a „Zefir” i „Wieloryb” stały w nieprzerwanem pogotowiu do odpłynięcia. Wyruszywszy nareszcie, poczęły przemierzać w szerz i wzdłuż zatokę, łowiąc

beczki niby tuńczyki, gardząc obecnie makrelą, która pozostawiona w spokoju od dni kilku, wyprawiała susy na słońcu. Coqueville, śledząc przebieg połowu z brzegów, pekało z śmiechu na piaskach. Wieczorem znów oblewało płon.

Co Coqueville utrzymywało w niesłabnącym entuzjazmie, to że beczki pojawiały się ciągle. Gdy już nie było ani jednej, jeszcze pokazywało się parę. W istocie okręt ów, który poszedł na dno, ładny wiózł na swym pokładzie ładunek!... a Coqueville, którego sobkostwo rosło wraz z wesołością, podlewaną spirytualiami tak hojnie, pokpiwało sobie jeszcze z tej zatopionej pływającej piwnicy likierów, którychby zda się starczyło na spojenie wszystkich ryb w oceanie. Przytem nigdy jeszcze nie zdarzyło się tubylcom znajdować na morzu takich jak te beczek; miały one najprzeróżniejsze kształty, rozmiary i barwy. Następnie w każdej zupełnie inny był likier. Toteż połowy zapadał mimowoli w coraz to głębszą zadumę. On! który pił wszystko!... nie mógł się w tym chaosie specyałów w żaden sposób rozeznąć. La Queue oświadczył, że nie zdarzyło mu się widzieć jak żyje podobnego temu ładunku. Proboszcz wyraził znów mniemanie, że to chyba obstalunek jakiegoś króla dzikusów, pragnącego zaopatrzyć sobie gruntownie piwnicę. Zresztą Coqueville przestało się w końcu borykać z zagadką, ukołysane rozkoszą nieznanymi upojeniami.

Damy przenosiły nad wszystko kremy; a były tam kremy: mokka, kakao, miętowy, waniliowy... Margot i inne dziewczęta przepadały za curaçao, benedyktynką, trapistynką, chartreuse. Pożeczkwkę zarezerwowano dla dziatwy. Naturalnie mężczyźni poczęli sobie dogadzać jeszcze lepiej, gdy nałowiono koniaku, rumu, jałowcówki, co wszystko tak porzywa wytrawną gębę doświadczonoego smakosza. Później zdarzyło się parę niespodzianek z napojami specjalnego rodzaju, z których jeden szczególnie wydał się wszystkim terpentyną najszczerzą, ale wypito go i tak co do kropli, by nie uronić niczego z tych skarbów. Nagadać się za to o nim później nie mogli. Arak z Batawii, szwedzka kminkówka, śliwowica serbska, wywracały jedne po drugich do góry nogami dotychczasowe pojęcia Coquevillaków o tem, czego gardła ludzkie na świecie nie potrafią łykać. A już formalna gorączka ich ogarnęła do kimlu i kirszu, likierów przezroczystych jak woda u ognistych, że masiupenko — i uśmierciły człeka. Jestże to rzeczą możliwą, o Panie w niebiesiech, by tyle wyśmienitych rzeczy rozum ludzki wymyślił na świecie?!... W Coqueville znano tylko pospolitą gorzałę — i to nie wszyscy. Toteż imaginacye poczęły się w końcu egzaltować w zakresie danego przedmiotu i dochodziło do formalnej dewocji wobec tak nieprzebranej obfitości cieczy, któremi się można było upić. Ach!... upijać się!... upijać co wieczór czem innym!... nie wiedząc czem w dodatku!... Była to niby czarodziejska bajka, niby cudowna fontanna, tryskająca najdziwniejszymi w świecie trunkami, wszelkimi możliwymi gatunkami dystylowanego alkoholu, zaprawnego wszelakim kwiatem i wszelkim owocem, jaki tylko matka-ziemia wydaje!...

Tak tedy w piątek wieczór zjawilo się na wybrzeżu siedm beczek. Coqueville nie opuszczało obecnie brzegów. Korzystając z pogody, pędziło tam błogi żywot dzień za dniem. Nikt nie pamiętał tak precudnego tygodnia we wrześnie. Pijatyka ciągnęła się już od poniedziałku i nie było najmniejszej racyi, aby nie miała przeciągnąć się w nieskończoność, jeżeli tylko opatrność nie przestanie rybakom zsyłać beczek, wielu bowiem w szczodrości morza dla wsi poczęło przesądnie upatrywać palec boski. Wszystkie życiowe sprawy uległy obecnie zawieszeniu. Po co się uganiać za zarobkiem, skoro dla niefrasobliwie śpiących gotowe rozkosze czekają na wodzie, rychło się zbudzić raczą?... Wszyscy stali się teraz panami, burżuazją, zapijającą drogie likiery, nie potrzebującą w dodatku ni grosza za nie płacić w kawiarni. Z rękoma w kieszeniach Coqueville rozkoszowało się słońcem, czekając wieczornej uczyty. Zresztą wieś nie powracała obecnie na chwilę do stanu trzeźwości, czerpiąc obficie wszystkie odcienie dobrego humoru z kimlu, kirszu i ratafi; w przeciągu ostatnich dni siedmiu zapoznało się z blizką i furyą, do jakiej pobudza dżin, i z nastrojami łazawych rozrzewnień, które płyną z curaçao, i z koniakowemi kaskadami hucznego śmiechu wreszcie. Wśród tego wszystkiego zaś zachowało niewinność nowonarodzonej dzieciny, co nie dba o nic w świecie, pijąc z głębokiem przekonaniem wszystko, co Bóg jej do picia zesze.

Piątek to stał się dniem owym pamiętnym, którego między rodami Mahéów i Flocheów przyszło po wiekach wrogiej waśni do zbratania. Wesołość buchła na brzegu zaraz z samego wieczora ogromna. Już w poprzedzający wieczór przedział między skłóconymi rodami zmniejszył się znacznie, kiedy bardziej pijani poczęli coraz liczniej przekraczać

piaskowy wzgórek, dzielący tych od tamtych. Pozostało uczynić tylko jeden krok. Po stronie Flocheów dopijano czterech beczek, podczas gdy Maheowie kończyli swoje trzy z trzema gatunkami likieru, każdy w innym kolorze, składającymi się na barwy flagi francuskiej: błękitny, biały i pasowy. Błękitny przejmował Flocheów zazdrością, ponieważ likier niebieskiego koloru zdał im się dziwem nad dziwy. La Queue, przedzierzgnąwszy się w dobrodusznego czelczybę, odkąd pijatyki nie dawały mu czasu wytrzeźwieć, postąpił ku długoletnim przeciwnikom z napełnionym kielichem w ręce, czując, że pierwszy krok do zgody jemu uczynić wypada, jako przedstawicielowi miejscowej władzy.

— Słuchaj-no, Rouget — wycharczał. — Trącisz się?...

— Czemu nie — odparł w pauzie czkawki Rouget, zatoczywszy się mocno ze wzruszenia.

I padli sobie wzajem na szyję. W tej chwili zapłakał pośród beczek kto żywy, tak wszystkich uroczysty moment rozrzewniał. Maheowie i Flocheowie poczęli na zabój ścisnąć jedni drugich, oni, co się z sobą żarli od trzech stuleci. Proboszcz Radiguet, ogromnie wzruszony, wspominał o palcu bożym. Trącano się na wszystkie strony trójbarwnymi likierami: błękitnym, białym, czerwonym — aż i wrzasnął połowy ogniście:

— Niech żyje Francja! — a czyje tylko usta mogły, powtórzyły okrzyk.

Błękitny likier nie wiele był wart, toż samo dało się powiedzieć o białym, za to czerwony był znakomity. Po nich zaczęto doić beczki Flocheów, wreszcie przyszła kolej na tany. W braku muzyki ochocza młodzież poczęła gwizdać, przyklaskując dłońmi siarczyscie, co oddziało podniecająco na dziewczęta. Bawiono się wyśmienicie. Wszystkie siedm beczek ustawione zostały w szereg, gdzie każdy, wybierając wedle upodobania, mógł się raczyć czem chciał. Jeżeli zaś miał już dosyć, wyciągał się po prostu na piasku w pierwszym lepszym miejscu, za przykładem wielu, którzy przed nimi już uczynili to samo. Ocknąwszy się, wracało się do beczek i zaczynało na nowo. Reszta nadawała balowi coraz to szersze rozmiary, zagarniając pod tany cały brzeg. Skakanina ta na świeżem powietrzu trwała do samej północy. Morze szumiało opodal zcicha, gwiazdy błyszczwały w głębiach niebios, pełnych bezmiernego spokoju. Był to nastrój jakby zamierzchłych czasów człowieczego dzieciństwa, tulący w swoich objęciach naiwne i dzikie igraszki bajecznego plemienia, upojonego pierwszą zdobytą beczką wódki.

Nakoniec udało się Coqueville na spoczynek. Kiedy już nie było co pić, nieprzyjazne do niedawna rody wspomogły się po bratersku i dźwigając bardziej podciętych towarzyszy, odnalazły, acz nie bez, trudu, drogę do swoich łóżek. Sobotnia stypa trwała blisko do drugiej godziny rano. Złowiono sześć beczek, z tych dwie ogromne. Fouasse i Tupain omal się przytem nie pobili. Tupain, który po pijanemu o byle co wpadał w złość, groził, że musi raz skończyć z bratem. Kłótnia ich wszakże tym razem zgorszyła całą ludność, i to zarówno Maheów, jak tamtych. Jestże bo w tem za grosz sensu dawać się unosić prywacie, kiedy się wieś cała całuje?... Zmuszono obu braci, aby się tręcili, a gdy się nie przestawali krzywić, zobowiązano połowego, aby ich pilnował.

Nie lepiej rzeczy się miały pomiędzy Rougetem i Rougetową. Marya, opiwszy się anyżówką, poczęła do Brisemotta stroić czule miny, na co znów mąż jej nie mógł patrzeć spokojnem okiem; tem więcej, że podniecony libacją, i on także zapragnął być kochanym. Daremnie dobrotliwy, jak zawsze, księżyna począł kazać pod adresem tej trójki o przebaczeniu krzywd — wszyscy się bali wypadku. Jeden tylko wójt La Queue mówił:

— I... i... i... jakoś to będzie... Niech tylko jutrzejszy połów nie zawiedzie, będziecie widzieć!... Na zdrowie!

A przecież sam La Queue nie był także bez zarzutu. Śledził on ustawiczne Delfina i próbował go już skarcić po kilkakroć kopnięciem niżej kości krzyżowej, kiedy się tylko zanadto zbliżał do Margosi. Polowego to strasznie złościło, gdyż uważał za rzecz głupią przeszkadzać dwojgu młodym w pobaraszkowaniu trochę. Lecz wójt nie przestawał się zaklinać, że pierwej uśmierci Margosię, zanim ją odda małemu. Zresztą i Margot by go także nie chciała.

— Nieprawdąż?... za dumną jesteś! — krzyczał. — Nie poszłabyś nigdy w świecie za tego dziada?...

— Nigdy, tatusiu! — odpowiadało dziewczę.

W sobotę wieczór Margot wypila sporo słodkiego likieru. Nie wyobrażała sobie nigdy aż tak wybornej słodkości. Nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje, uczuła się

niebawem zmuszoną usiąść w pobliżu beczki. Tu, śmiejąc się raz po raz, na całe gardło jakby ją kto na sto koni wsadził, wpatrywała się w gwiazdy i wciąż się jej zdawało, że słyszy jakąś muzykę, grającą melodie taneczne. W takiej to chwili Delfin, wślizgnąwszy się zwinnie w cień, padający od beczki, wziął dziewczynę za rękę i spytał:

— Powiedźże Margoś... Chcesz?

Lecz ona za całą odpowiedź parsknęła śmiechem. W końcu jednak rzekła:

— To ojciec nie chce.

— Och! cóż to znaczy?... — mały na to. — Wiesz przecie, że starzy nigdy nie chcą...

Byłeś tylko ty chciała, ty...

I rozzuchwalony wycisnął jej na szyi całusa.

Wypreżyła się, dreszcz ją przeszedł.

— Daj pokój, łaskoczesz mnie.

Nie groziła mu już jednak policzkiem... Najpierw dlatego, że było to nad jej siły, gdyż ręce miała bezwładne, powtórę, że taki małeńki całus w szyję wydał się jej rzeczą nad wyraz smakowitą; coś jakby likier odurzający dziwnie rozkosznym sposobem. I w końcu sama poczęła poddawać głowę jego całusom, wyciągać szyję i przymilać się jak kotka, kiedy doprasza się pieszczot.

— Czekał — szepnęła — tu, tu, pod uchem, tu mnie tak śwędzi... Och! jak to przyjemnie!...

Zapomnieli oboje kompletnie o starym. Na szczęście był ktoś, co nad nimi czuwał: polowy. Pokazując ich proboszczowi, rzekł:

— Spojrzcie-no, księżę proboszczu... Nie lepiej-żeby było pożenić tych dwoje?...

— Obyczajność zyskałaby na tem — odparł ksiądz sentencyonalnie.

I zakarbował sobie w pamięci tę sprawę na dzień najbliższy. Postanowił ją pierwszy poruszyć wobec wójta. Tymczasem La Queue tak się był zdążył urżnąć, że proboszcz z strażnikiem musieli go niemal zanieść do domu, próbując, na gorąco, zapukać po drodze do rozumu starego w sprawie córki; niepodobna wszakże było nic więcej wydobyć z jego gardzieli oprócz niezrozumiałych pomruków. Ich śladem Delfin odprowadzał Margosię światłością nocy pogodnej.

Nazajutrz o godzinie czwartej z południa „Wieloryb” i „Zefir” miały już ułowionych siedm nowych beczek. O szóstej „Zefir” złowił jeszcze dwie, co razem czyniło dziewięć. Natenczas Coqueville postanowiło uroczyście święcić niedzielę, która była zarazem siódmym dniem pijatyki. Feta też to była całą gębą, jakiej jeszcze oko ludzkie nie widziało, i nigdy więcej nie miało zobaczyć. Natrąćcie o tem tylko gdzieś w niżu normandzkim a odpowiedzą wam zaraz ze śmiechem:

— Ba!... wiemy! wiemy!... Któżby nie słyszał o fecie w Coqueville!...

V

Tymczasem od wtorku począwszy pan Mouchel nie mógł się obronić coraz większemu zdziwieniu, że nie widzi dotąd w Grandporcie ani Rougeta ani La Queuea, których lada chwila spodziewał się ciągle zobaczyć. Co się z nimi u licha dzieje?... Morze jest cudowne — połów powinienby wypaść wspaniale!... Chyba, że uwzięli się dostarczyć za jednym zamachem całkowitego ładunku języków i raków. Czekał cierpliwie do środy.

W środę jednak zaczął się już niecierpliwić. Wiedzieć należy, że usposobienie wdowy Dufeu nie odznaczało się wyrozumiałością. Kobieta ta, gdy ją coś zirytowało, zaczynała od razu na grubo, nie przebierając w wyrazach. Więc chociaż pan Mouchel był ładnym, jasnowłosym, tęgim chłopcem, trząśł się przed nią, tembardziej, że marzył skrycie o jej zaślubieniu i skakał koło niej na palcach, dopóki, stawszy się panem sytuacji, nie zdobędzie prawa uspakajania humorów baby porządnym kłapsem.

Tak tedy w środę zrana wdowa Dufeu dała się znowu unieść jednej z swych burz, zrzedząc mu nad głową, że wszystkie przesyłki wstrzymane, że ryb brak. przyczem posunęła się do zrobienia mu zarzutu, że woli latać za okolicznymi dziewczętami, niż troszczyć się o szczupaki i makrele, których jest z pewnością podostatkiem. Pan Mouchel, draśnięty, zasłonił się niebywałą niesłownością Coquevilleu. Wdowa Dufeu uległa na chwilę zdziwieniu. Co sobie to Coqueville właściwie myśli?!... Nigdy jeszcze wieś rybacka nie pozwoliła sobie tak lekceważyć zamówień. Wnet jednak dorzuciła, że Coqueville ją nic nie

obchodzi, że to rzecz pana Mouchel zawczasu zapewnić sobie dostawę i że ona chwyci się na przyszłość radykalniejszych środków, jeżeli on raz jeszcze pozwoli rybakom wykierować firmę na dudka. Ogromnie zaniepokojony pan Mouchel życzył w duchu Rougetowi i La Queue'emu, żeby ich jasny piorun trzasł. Może się jednak nareszcie pokażą jutro?...

— Nazajutrz — to znaczy we czwartek — nie zjawił się ani jeden ani drugi.

Co to jest?... W ostatniej desperacji wydrapał się ku wieczorowi na skałę, sterczącą z lewej strony Grandportu, skąd widać Coqueville, i rozścielającą się u stóp wioski żółtą plamę nadbrzeża. Długo patrzył. Wioska miała w słońcu wyraz spokoju. Lekkie dymy snuły się z kominów, zapewne kobiety gotują w tej chwili polewkę. Stwierdziwszy, że Coqueville znajduje się na swoim miejscu, że skały nie zmiażdżyły wioski, zrozumiał wreszcie, zwłaszcza gdy schodząc już, dostrzegł w zatoce dwa czarne punkciki — oczywiście „Zefira” i „Wieloryba”. Z czystym sumieniem poszedł uspokoić wdowę Dufeu: Coqueville łowi!

Minęła noc, ale przez cały piątek nie pokazał się znowu nikt z rybaków. Pan Mouchel spał się tego dnia na skałę więcej niżeli dziesięć razy. Zaczynał już tracić głowę. Wdowa Dufeu traktowała go w niemożliwy sposób, a on, jak na złość, nie wiedział kompletnie, co na to odpowiedzieć. Wioska rozwalala się ciągle tam, pod skałami, grzejąc się niby leniwa jaszczurka do słońca. Tylko dymów nie mógł obecnie dostrzedz. Wieś wyglądała jak umarła. Czyżby u kaduka, wszystko naprawdę wyzdychało w tej dziurze przeklętej? Na wybrzeżu wprawdzie pstrzyły się jakieś ciemne plamki, ale to mogły być pęki alg, wyrzuconych przez przypływ.

I w sobotę jeszcze — ani żywej duszy. Wdowa Dufeu przestała się zupełnie rzucać. Oczy jej przestały biegać, wargi pobladły. Pan Mouchel przesiedział na skale dwie godziny jak osłupiały z desperacji. Zaczęła w nim jednak wzbierać ciekawość, całkiem osobista potrzeba zdania sobie sprawy z niepojętego zachowania się wioski. Widok tych chałup, drzemających błogo na słońcu, począł go wreszcie drażnić. Powziął wreszcie nieodwołalną decyzję udania się tam w poniedziałek osobiście wczesnym rankiem, tak aby około dziewiątej już mógł stanąć na miejscu.

Wyprawa do Coqueville to nie żaden spacer. Pan Mouchel wybrał drogę lądową, by spaść na Coqueville zniecka. Kołami dojechał do Robigneux, gdzie wózek zostawił pod jakąś stodołą, byłoby bowiem rzeczą nieroztropną tłuc go po kamieniach wąwozu. Dalej zaś ruszył piechotą ochoczo, mając przed sobą blisko siedm kilometrów najohydniejszej drogi, jaką sobie tylko wyobrazić można. Bądź cobądź jednak oprawa tej drogi nie była pozbawioną dzikiego uroku wśród ciągłych, coraz to niżej wijących się zakrętów, pomiędzy dwoma olbrzymimi skałami, tak ściśniętymi w niektórych miejscach, że trzech ludzi nie mogło tamtędy przejść obok siebie w jednym rzędzie. Dalej droga biegnie spory kawałek nad przepaścią, aż naraz wąwóz roztwiera się i odsłania olbrzymi widok na morze, na bezgraniczny horyzont niebieski.

Niestety stan duszy pana Mouchela wykluczał pogrążanie się w admiracji krajobrazu. Klął za to siarczyście, ile razy kamyki zaczynały mu się toczyć pod podeszwami obuwi, narażając go na upadek. Wszystkiemu jednak winno Coqueville!... przyrzekał sobie zbesztać tych leniów co się zowie. Wśród tego zbliżał się coraz bardziej do wioski. Naraz, minąwszy skręt poza ostatnim występem skalnym, ujrzał przed sobą dwadzieścia domów wioski, poprzyczepianych na stromem zboczu głązów nadbrzeżnych.

W tej chwili wybiła godzina dziewiąta. Można było przypuścić, że wrócił czerwiec, tak przezysty był błękit nieba i tyle było ciepła w powietrzu; cudowna pogoda, powietrze przejrzyste, ozłocone pyłem słonecznego blasku, pachnące wybornie świeżością morza. Pan Mouchel skierował się w jedyną ulicę wioski, na której tak częstym bywał gościem, a znalazłszy się przed domem Rougeta, wszedł do środka. W domu nie było nikogo. Poszedł z kolei zajrzeć do Fouassea, Tupaina, Brisemotte'a — nigdzie żywej duszy. Drzwi wszędzie poroztwierane — wewnątrz nikoguteńko. Cóż to ma znaczyć? Leciuchny dreszczyk przebiegł go po plecach. Przyszły mu na myśl władze: polowy go z pewnością objaśni. Aliści dom polowego stał pustką jak wszystkie. Nawet strażnika w domu nie było. Ta wieś opuszczona i milcząca zaczynała go przejmować strachem. Pobiegł do wójta. I tu go czekała niespodzianka: w mieszkaniu wszystko do góry nogami, od trzech dni nie słano łóżek, naczynia poniewierały się po wszystkich sprzętach i kątach, powywracane na podłogę stolki przywodziły na myśl obraz pobojoiwiska. Do głębi wstrząśnięty, przypusz-

czając jakiś kataklizm, pan Mouchel postanowił iść do proboszcza i udał się do kościoła. Nie znalazł jednak na probostwie proboszcza jak na wójtostwie wójta. Nie tylko przedstawiciele władz ale i reprezentacja kościoła zniknęła z horyzontu wioski. Coqueville, porzucone przez swych mieszkańców, spało bez tchu, bez jednego psiego szczeknięcia, bez jednego wrzasku kotów. Nie było nawet drobiu, który także się gdzieś podział. Nic — pustka — cisza — sen grobu — pod kopułą z jasnych lazurów.

Do dyabła! cóż dziwnego, że Coqueville nie dostawia ryb, skoro się wyludniło, wymarło!... Należało zawiadomić żandarmeryę. Tajemnicza katastrofa rozegzaltowała pana Mouchel, gdy wtem, zwróciwszy się w stronę wybrzeża — wydał okrzyk. Caluteńka ludność wsi wylegiwała się jak jeden mąż nad brzegiem, na piaskach!... Pomyślał w pierwszej chwili błyskawicznie o masowej rzezi... Ale głośnie chrapania tyłu gardła wywiodły go natychmiast z błędu. Przez noc niedzielną Coqueville oddawało się do tak późna pijatyce, że powrót do domów na spoczynek stał się dla wszystkich bez wyjątku mieszkańców absolutną niemożliwością. Pokładli się więc do snu na piaskach, gdzie się który przewrócił, dokoła dziewięciu beczek wysuszonych przez noc do dna.

Tak jest, całe Coqueville przed jego oczyma chrapało: dzieci, kobiety, mężczyźni i starcy. Ani jednego człeka na nogach. Jedni rozwalali się na brzuchu, inni leżeli w znak rozciągnięci, ten i ów chrapał skręcony w świder lub obarzanek cudacznie. Jak sobie kto pościeli, tak śpi. I spało wszystko na podobieństwo wiatrem rozwianej gromady liści, gdzie kogo rzucił kaprys przypadku. Niejeden z mężczyzn, wywinąwszy kozła przy ostatnim runięciu, spał z głową niżej niż nogi. Kobiety spały niejednokrotnie w pozach jaskrawo sprzecznych z kokieteryą a nawet z sromem niewieścim. Nastrój tego obozowiska opojów, wysypiających się tak i smacznie w dzień biały, pod gołym niebem, cechowała jakaś wesoła i sympatyczna bonomia, bo tylko stamtąd, gdzie ludziska sobie gwałt zadają, wesołość pierzcha.

A właśnie przypadł był nów, i Coqueville, jak gdyby zdmuchnęło swą świeczkę, pograżyło się w mrokach nocy. Teraz zaś dzień jaśniał coraz rzęsiściej i słońce prażyło już nie na żarty, przypiekając śpiochów a jednak nie mogąc im ani rusz leniwych powiek roztworzyć. Spali kamieniem, z rozradowaniem obliczem, z niewinną miną sytego trunków pijaczyny. Zdaje się, że kury, przedsięwziąwszy rankiem w stronę ludzi wyprawę, musiały także umoczyć dziób w zlewkach u stóp beczek, bo i one również spały na piasku urżnięte. Ba nawet pięć kotów i trzy brysie przewalały się między ludźmi w stanie nie ulegającego kwestyi opilstwa, z łapami zadartymi do góry, nalizawszy się naczyń, z których pijaki dwunożne nie ze wszystkim wypili likiery słodziutkie.

Czas jakiś pan Mouchel chodził tam i sam między śpiącymi, bacząc, by kogo nie nadeptać. Zrozumiał teraz wszystko, bo i w Grandporcie w tych dniach złowiono dwie beczki trunku, pochodzące z angielskiego okrętu, zatopionego przez burzę. I cały jego gniew zgasł. Jakież-bo widok zarazem rzewny i budujący!... Coqueville pojednane!.. Synowie i córki Mahéów i Flocheów, śpiący jak bracia jedni obok drugich. Przy ostatniej szklanicy najzażartsi wrogowie ucałowali się. Tupain i Fouasse chrapali jeden przy drugim, jak prawdziwi rodzeni, niezdolni spierać się o takie głupstwo jak ojcowizna. Co do Rougetów stadło to przedstawiało jeszcze sympatyczniejszy obraz: ona pomiędzy mężem i Brisemottem, jakby na znak, iż niczem nie zamącona harmonia przyświecać będzie odtąd tej tak burzliwej trójce.

Niepodobna sobie jednak wystawić nic bardziej rozrzewniającego nad grupę, jaką tworzył Delfin z Margosią, obejmujący się za szyję miłośnie, z ustami, rozchylonemi jakby od ostatniego pocałunku, którym zaróżowiony drobny nosek dziewczyny czynił ją dziwnie podobną do zakochanej kotki, co łaknie pieszczot. Poniżej tych dwojga połowy chrapał groźnie, niby na straży. Nad ich głowami La Queue wypuszczał z gardła rytmicznie basowe pomruki szczęśliwego ojca, co oddał córę w godne ręce, podczas klody drzemiący opodał na lekkim wzniesieniu proboszcz zdawał się rozpostartymi ramionami zgarniać pod swoje opiekuńcze skrzydła całą tę śpiącą czeladkę.

Epilogiem fety było weselisko wójtównej z Delfinem, a i pana Mouchela, który zaśłubiwszy wkrótce potem swą energiczną wdowę, nie zaniedbywał jej prac za wszystkie czasy, zgodnie z powziętym odtąd planem.

Tak się skończył wiekopomny ten wypadek, o który w całej nizinie normandzkiej zapytani odpowiadają z szczerym śmiechem:

— Ba! Ba!... Feta w Coqueville!... A któżby też o niej nie słyszał!...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/feta-w-coqueville>

Tekst opracowany na podstawie: Emil Zola, Feta w Coqueville, tłum. Z. Niedźwiecki, Nakładem i drukiem księgarńi Wilhelma Zukerkandla, Lwów-Złoczów, 1908.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowską, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-1083-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.